



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

TYPY I SYLWETKI NIEWIEŚCIE

w poezjach Brodzińskiego.

Odmienność, nieco niż w całej naszej poezji średniowiecznej cechą nosi na sobie typ kobiety polskiej w utworach K. Brodzińskiego. Odmienność, bowiem zawarunkowaną nie tylko charakterem osobistym poety, którego organizacja psychiczna nie przypomina nikogo prawie z jego poprzedników, lecz również całym owym zwrotem w poglądach życiowych i społecznych, jaki cechuje u nas rozniewiającą podówczas doba romantyzmu. W poezji naszej przed Brodzińskim obraz kobiety był przeważnie kreślony albo ze względu na jej stanowisko rodzinne i obowiązki, do tego stanowiska przywiązane—a więc jako obraz żony, matki i domu gospodyni,—albo też pod względem erotycznym, nieraz lekkim i mniej głębokim—co miało miejsce szczególnie w utworach poetów XVIII-go wieku. Natomiast strona czysto uczuciowa duszy kobiecej, rysy subtelniejsze i miękksze, uczucia tkliwe, słodkie i rzewne serca niewieściego nie znajdowały sobie dostatecznego wyrazu w naszej poezji poprzednich stuleci. Dopiero pierwsze technienia nadchodzącego romantyzmu, chociaż jeszcze bardzo słabe i niewyraźne—przyniosły wraz ze sobą ową sentymentalną smutność uczucia, cichą i słodką rzewność, zdrową jednak, świeżą i mniej ekliwą, niż u wcześniejszego Karpińskiego. Gdyż weźmiemy pod uwagę przytem miękki i cichy charakter Brodzińskiego i to zbliżenie się jego w dzieciństwie do ludu wiejskiego i patrzenie przez pryzmat idealny na ludu życie i zwyczaj—zrozumiemy łatwo, z jakąd pochodzi owe

różowe zabarwienie tła obrazów i ta miękkość karnacyi niewieścich postaci w utworach naszego poety. Przejrzyjmy te utwory poetyckie Brodzińskiego, w których stoją przed nami postacie kobiet polskich, wyjęte przeważnie z warstwy społeczeństwa niższej, z ludu, z którym zbliżył się poeta za swoich lat dziecinnych i który szczerze ukochał. Znajdziemy tam kilka typów wyrazistych, może mniej realnych—lecz zawsze sympatycznych, jasnych—zawsze prawie smutnych—w jakich się kochała dusza Brodzińskiego—sama pogodna i smutna... reszta—są to sylwetki—rzucone na tło ciemniejsze i dalsze a więc mniej wyraźne i rozwinięte.

W krakowskiej sielance, Wiesławie, poeta wprowadza cztery kobiece postacie: Bronisławę, Bronikę, Halinę i jej przybraną matkę. Z pośród nich Halina, a po części i Bronisława są pierwszoplanowymi postaciami, matka zaś, a szczególnie mała Bronika skreślone są sylwetkowo.

Bronisława, żona Stanisławowa, przedstawia typ uczciwej, dobrej i gospodarnej żony kmięcia. Pracowitość—ta najcenniejsza cnota niewieścia—mieszka w niej i czyni ją dobrą gospodynią i dzielną pomocnicą męża, jest też dlań ona nie tylko pomocnicą w ciężkiej pracy codziennej, lecz zarazem doradczynią we wszelkich kłopotach i sprawach ich prostego życia. Oto—zaraz na początku sielanki—widzimy ją wychodzącą ze Stanisławem z komory, gdzie oboje urządzili kupno pary koni i odłożyli pieniądze na to zakupienie.

W dalszym ciągu poematu widzimy ją krzątającą się w izbie przy kominię, aby nagotować rychło wieczerzę wracającemu z kupionymi końmi Wiesławowi; widzimy ją, jak ogląda i głaszcze kupione koniki—rada „z prędkiego powrotu i z tanioci kupna.“ Widzimy ją wracającą od pracy wieczorem, jak niesie krówkom koniczynę, skoszona z pola. Będąc dobrą żoną i pracowitą gospodynią, jest również dla dzieci kochającą

matką: kocha Bronikę, niemoże w żalu się utulić ani zapomnieć drugiej córki, zginionej, której przypomnienie—choć po latach wielu—strumienie łez rzewnych sączy z jej oczu. Kocha wreszcie zarówno z rodzonem dziećciem i Wiesławą, którego przyjęła niegdyś do chaty z litości—i dlatego, aby i jej utracone dziećce kędyś na szerokim świecie równą litość u ludzi znalazło,—wierzy przytem, że „gdzie sierota przyjęta pod strzechę—tam z niebem bliższy Bóg zsyła pociechę.“ i mówi:

„Litość za litość. Niebieska opieka
Tajnie nagradza uczynki człowieka...
A jeśli ziemia strawiła jej kości,
Swobodna dusza w krainach przyszłości
Igra wesoło przy niebieskiej Matce,
I łaskę nieba zwabia naszej chatce...“

Marzy o tem, by skojarzywszy obojga młodych, obojgu zapewnić szczęście. Dla Wiesława też „strzeże tej córki, jakby oka w głowie...“ Lecz oto Wiesław powraca z Krakowa, a przy wieczerzy, którą mu troskliwa zastawia Bronisława, zamiast wesoło opowiadać o zdarzeniach podróży, siedzi milczący i smutny. Z przenikliwością, zwykłą kochającej kobiecie, dostrzega ów odcień smutku na jego twarzy i troskliwie wypytuje go o przyczynę tej zmiany. Szczery Wiesław wyznaje przed nimi swoją miłość ku nieznannej dziewczynie—i tu łatwo sobie wyobrazić cały żal i smutek matki, która z jednej strony widzi rozbicie najdroższych swoich marzeń, z drugiej zaś strony zanadto kocha Wiesława, aby go obojętnie pożegnać mogła. Zalaawszy się łzami, wychodzi z chatki „czując razem srom i miłość macierzyńską.“ Tem większą, tem pełniejszą później radość odczuło serce matczyne, gdy Wiesław przyprowadza do ich chatki wybraną swoją—szczęśliwie odszukaną drugą jej córkę...

Równą pracowitość i podobne cnoty ma też przybrana matka Haliny—bo w istocie to tenże sam typ gospodarnej włościanki polskiej. Jest wprawdzie o wiele uboższą od zagrodowych kmieci, nie posiada ani skiby roli, jenó „jałówkę, dwie krówki, kilka owieczek—cały jej dochówek”—tem cięższą też jest jej praca na wyżywienie ich obu; tem skromniejsze wymagania.

Halinę maluje nam poeta jako dziewczynę hożą i wesołą—„w całym weselu najpierwszą urodą.“ Po raz pierwszy spotykamy ją jako druchnę na weselu, gdzie—zapłoniona cała—wita wędrownego młodzieńca i podaje mu ciasta i owoce z koszyka:

„Obcy wędrowcze! juźci przyjąć trzeba
Naszych owoców i naszego chleba!...“

Słowa cokolwiek nienaturalne może w ustach prostej wiejskiej dziewczyny, ale obrazek dziwnie wdzięczny i piękny. Przodkując tańczącemu gronu, płasza z Wiesławem w parze Halina ochoczo i wesoło—skromnie spuszczać powieki i rumieniąc się gdyby polna róża—ilekroć tancerz do niej piosnkę zanucił, ilekroć spojrzy dłużej na nią ów gracki chłopiec, który iskry kresze podkówkami ze stali.

W serduszkach dziewczęcem niezatarte wspomnienie i tęsknota jakowąś pozostawił obraz młodzieńca. Nie dziwi więc nas ów rumieniec krasny, jaki wykwitł na licach dziewczyny w chwili, gdy drzwi się ich ubogiej chatki otworzyły—i na progu stanął „Jan sędziwy i Wiesław okazali;“ żywo wybiegła z komory, w której może len przedła, dumając o spotkaniu młodzieńcu, gdy niby sen, niby widzenie on sam się zjawił na progu. A gdy przytem usłyszała mówiącego Jana: „Oj widzę, że godne i starca drogi lica tak urodne“ rumieniec rozplonął gdyby zorza, i pomieszana z nagłej radości pragnąc skryć swoje wzruszenie, zdejmując koszyk z młodzieńca i laskę Jana, a do stołu czystą przynosi lawkę.

Serce rozpięta jej tajemną radość i chciałyby przyjąć gości miłych jak może i umie najlepiej; tymczasem, kiedy matka rozmawia z gośćmi, ona roznieca ogień na kominie i krząta się około wieczerzy, a serce szepce jej, że nie darmo goście przybyli zdaleka. Lecz oto mądry Jan odrazu przystępuje do rzeczy, poprzedzając ją mądrą przemową i podaje obu kobietom kubek przyniesionego z domu miodu.

„Bo równa pszczele jest miłość wieśniacza,
Słodczy i zgodę i pracę oznacza...“

Piękny, a wprost wyjęty z obyczajów życia wieśniaczego jest obrazek, gdy Wiesław z serdecznymi słowy podaje Halinie kubek miodu, a ona:

„pytajacem wzrokiem
Patrzy na matkę; odwrócona bokiem
Białe odzienie zarzuca na głowę,
Tak zasłoniąca wypełnia połowę,
Połowę Wiesław wypełnia aż do dna;
A jako zorza za gajem pogodna
Kryjąc się błyszczy rumieńcem Halina...“

Stary Jan zaczyna dziewczosłęby, i Haliny ze drżeniem lubem serce słyszy, że miły młodzian ją kocha i prosi o nią jej matkę; a ujrawszy łzę, co zabłysła w oku Wiesława, już nie mogła Halina powstrzymać łez swoich, które jej rześsienie z oczu wytrysły. Lecz oto matka—rozzewniona szczęściem Haliny—powoduje się głosem sumienia, odpowiada Janowi, że sierota, przez nią przyjęta i wychowana, ubogą jest i nie dla niej ręka i zagroda kmiecia, „bo nie ma ojca, ani przyjacieli, co by o wianie dla niej pomyśleli...“ i tak kończy mowę:

„Jak była dotąd niebieska opieka,
Tak przeznaczenia u Boga niech czeka;
Ufam, że póki niemoc mię nie strawi,
Już mię Halina samą nie zostawi...“

Chociaż oznajmiając spełnienie na niczem jej snów dziewczyczych i rozłąkę z ukochanym

młodzieńcem, wzruszają jednak te słowa, litość w sercu dziewczyny i miłość ku tej, która wychowała ją jak dobra matka... Halina nawet się nie waha—jak ma postąpić, co wybrać... lecz w uczuciu wdzięcznego przywiązania upada na kolana przed matką i mówi ze łzami:

„O miła matko! tyś jest moje wiano,
Choćby mi góry ze złota dawano,
Choćbym mieszkała w malowanym dworze,
Jedwabne szaty chowała w komorze,
Tobym bez ciebie przeplakała życie...“

Ofiara jednak nie została spełniona. Szczera chęć wystarczyła za czyn spełniony i nagrodzoną została szczęściem. Mądry Jan—który całe opowiadanie przybranej matki rozważał i prawdy się domyślił—oto wiezie całe grono do zagrody Wiesławowej, aby powrócić rodzicom utraczone dzieci i skojarzyć parę szczęśliwą.

W miarę zbliżania się wozu do rodzimiej niedługo okolicy, Halina jak przez sen przypomina sobie te miejsca, te łąki i zarośla—ten głos rzeźny kościelnego dzwonka, który opiewał niegdyś malutkiej dziewczynce, coś coraz żywszego budzi się w jej duszy—aż w końcu na widok dawnego krzyża, co stoi wprost chaty—wspomnienie przeżywanego tu dzieciństwa stało przed nią żywe i wyraźne—i oto pada na kolana przed krzyżem i pyta Jana ze łzami:

„Mocny mój Boże! toć moja rodzina!
Gdzie moja matka, gdzie matka jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób ja pójść muszę,
Tu utęsknioną niech wyzioną duszę...“

Jan uspakaja jej obawy—a ona—czując w sercu nieprzebraną wdzięczność ku Bogu, który pozwolił jej wrócić do rodziny—klęka z Wiesławem pod krzyżem „a zamiast modłów—łzy im z oczu płyną—“łzy najczystsze, które są zarazem najwymowniejszą modlitwą duszy... Przy końcu sielskiego poematu widzimy szczęśliwą Halinę w objęciach odzyskanych rodziców i siostry.

Tak więc w Halinie przedstawił poeta ujmujący typ prostej dziewczyny wiejskiej, wesołej i hożej, umiejącej mocno kochać swoich najbliższych i swego wybranego—typ co prawda nieco wyidealizowany, lecz którego realny pierwowzór mógł poeta rzeczywiście odnaleźć pomiędzy naszym ludem.

Pozostaje nam jeszcze przypatrzeć się Bronice. Jest to dziewczątka młode, nawpół jeszcze dziecko, hoże, naiwne i proste, wrażliwe tą wrażliwością dziewczęcą, która prędzej odczuje nieraz w serduszkach to, co się dzieje w koło niej, niż pojmie. Gdy na początku poematu—Bronisława w obecności córki powtarza Wiesławowi, że dla niego to strzeże córki „jakby oka w głowie“—mała Bronika z dziecinną niemal naiwnością i bezwiedną zalotnością „matkę obejmując za szyję i wstyd rumiana na jej piersi kryje, lecz pusty uśmiech zwraca na Wiesława...“ Później—wzruszona opowiadaniem matki i widząc łzy jej rzewne, chociaż sama nie pamięta dawno utraczonej siostry—też zalewa się łzami... Kocha szczerze rodziców, kocha Wiesława, więcej może jeszcze jako brata—powracającemu z Krakowa wybiega radośnie na spotkanie i pyta go o zdrowie. Okazuje miękka i łagodną tkliwość, przymiot tak wdzięczny u kobiety... Kiedy Wiesław otwarcie wyznał rodzicom miłość swoją ku nieznannej dziewczynie, Bronika nie zdaje sobie należyte sprawy ze swej straty, nie rozpacza, jakby czyniła starsza, gorąco kochająca dziewczyna, nie czuje nawet za to dla Wiesława urazy; jest raczej strwożona ostrą mową, w jakiej ojciec czyni wyrzuty Wiesławowi i płacz matki, wychodzi więc za nią za próg chaty „z trwogą i łzą w oku.“ W końcu, gdy cała się rzecz wyjaśniła, gdy Wiesław przyprowadza do chaty swoją wybraną a jej utraczoną siostrę, Bronika całem sercem oddaje się radości—„i siostrę ścisła, nie czując straty, a czując co zyska“ w tej serdecznej radości, zapominając o tem, że owa odnaleziona siostra staje zaporą pomiędzy nią a Wiesławem.

Dość jej na tem, że wszyscy są szczęśliwi i że Wiesław zostanie w chacie i będzie ją nadal serdecznie kochał—jak siostrę.

Mniejszą, ale równie piękną, chociaż w lżejszym utrzymaniu tonie, jest sielanka p. t. Czerniaków. Obok tłumu pielgrzymów, dążących do Czerniakowa na odpust, idzie samotnie młodzieniec, nie zmieszany z tłumem, smutny... „bo szedłem prawie, jak ów robaczek błyszczący w trawie...“ Aż oto spostrzega tam samą co on ścieżką idące dwie kobiety: jedna starsza—matka, a druga „skromna, urodna, młoda, tak miła jako w maju pogoda.“ Cóż się ruszyło w sercu młodziana na ich widok, coś go wstrzymało...

„Miłości dziecię być to musiało.“

Dodaje poeta. — młodzieniec, otrzymawszy „ukłon za ukłon“ zbliża się śmiejąc do idących, które go „słódkiem słodkim wynagrodziły“ i towarzyszy dalej kobietom we wspólnej wędrówce:

„Szedłem, mówiłem; mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie...“

Córka, której się nieznany podobał młodzieniec, coraz się w rozmowie ożywia i płonie. Po przybyciu na miejsce odpustu, córka przed kościołem kupuje u straganiarki „serce i dziecię“ z wosku, rumieniąc się cała „w wstydu ozdobi.“ Wszedłszy do kościoła, „kornie chowana, córka przy matce zgięła kolana,“ składając kupione dary przed obrazem Matki Bożej—i w modlitwie

„tak się Bogiem przejęta zdała,
Że jej część bóstwa z oczu jaśniała.“

Po nabożeństwie kupuje dziewczę pierścionelek u kramarzy i daje go młodzianowi, który odwdzięcza się jej temże samem; zarumieniona, przyjmuje od niego drogi podarunek. Serce dziewczyny, napelnione nieznaną dotąd radością i weselem, chciałoby świat uszczęśliwić, każdemu usłużyć i dopomóc:

„Służbom podarki kupiła różne,
Ubogim w koło dała jałmużnę;
Ubogi mówił: Państwo łaskawi!
Niech was oboje Bóg błogosławi.
Ona mi na to spojrziała w oczy,
Jam myślał, że to głos jest proroczy,
Szedłem, mówiłem, mówiły do mnie,
Matka łagodnie, a córka skromnie.“

W dalszej drodze on kupuje jej kwiatków, które ona przypina zaraz sobie do piersi. Wreszcie zbliżają się do mieszkania, a matka prosi go wejść do chatki. Córka „jak żywe srebro,“ krząta się wesoło po domu, ustawia zakupione kwiaty w doniczkach przy swem łóżku połowę, a połowę przy łóżku matki, nakazuje wieczerzę; na miłej rozmowie czas schodzi szybko,—pora późna—czas już pożegnać miłe znajome; przy pożegnaniu:

„Jakowys smutek zmienił jej wdzięki
Gdy usta do jej przytknęłem ręki!
Na matkę wdzięczne oko zwróciła
Jakby o grzeczne słówko prosiła.“

Otrzymałszy od matki uprzejme zaproszenie zachodzić częściej—młodzieniec opuszcza drogą już dlań chatkę; strudzona drogą matka usnęła, a córka długo jeszcze klęczała przed obrazem, lecz myśli zebrać do modlitwy nie mogła, by „myśl indziej bawiła.“ Cała noc zeszła bezsenne, „na posłaniu niepokojne, serce jakby na gwałt biło...“ i cały dzień następny był dziwny dla dziewczyny: kwiaty uzbierane w polu gubiły się same co chwila, tęsknota jakaś wiedzie na wzgórek i każe wyzierać na drogę... jakaś dziwna chęć zwierzenia się przed kimś, choćby przed sługą, ale lęk czy wstyd jakiś usta zamyka odrazu...

„Tylko w polach Czerniakowa
Przy młodzieńcu myśl się bawi,
Wciąż w uszach żebraka słowa:
Niechaj Bóg was błogosławi!”

W obrazku tym widzimy więc typ polskiej dziewczyny, ubogiej, lecz z warstwy wyższej niż ta, z jakiej pochodziła Halina Wiesława. Główne cnoty: skromność, pobożność, dobroć serca i litość miłosierna, serce pocziwe i świeże, zdolne kochać gorąco i szczerze. Postać systematyczna, podobnie Halinie z Wiesławą skreślona w ciepłym i serdecznym tonie sielanki.

(Dokończenie nastąpi).

RANEK.

Przez szyby okien zajął świt perłowo-szary,
Za chwilę z krwawych puchów błysnie
[promień złoty...]
Witaj, dniu! Nowe z sobą przynosisz zgryzoty,
Znowu męty pić każesz z gorzkiej życia czary.

Witaj, dniu! Witaj, świecie—komedyancie stary,
Przybrany w pstre gałganki nędznego heloty!
Ku mym porywom skieruj zimnych szyderstw
[groty,—
Nie pierwszy raz ze sobą chwycim się za bary...

Potokiem błota spróbuj zgasić serca żary,
Zniweczyć wszystkie jego ku błękitom wzloty,
Spróbuj pozbawić duszę w siły własne wiary,

W tryumf lepszych pierwiastków: prawdy,
[piękna, cnoty...]
Nie uda ci się, świecie—komedyancie stary:
Żelazo w stal zamienia najcięższe twe młoty.

WIECZÓR.

Zachodnie zorze szepczą pożegnania słowa
Ziemni, co po nich w kiru kryje się osłony.
Zdała na Anioł Pański nawołują dzwony,
I dziwny spokój budzi ta pieśń ich echowa.

Na ziemi jakaś era zaczyna się nowa,
W pomroce niebotyczne widzisz wśród drzew
[trony,—
Na nich ukołysanie twej duszy znużonej
Da cisza, serc cierpiących najmilsza królowa.

W naturze zmilkłyienne, hałaśliwe gwary,—
Słowik się tylko czasem odezwie w olszynie
Lub o przeszłości westchnie dąb—lirnik prastary.

Ach, w takiej ciszy nowe rozpoczynam życie,
Do duszy od gwiazd złotych ukojenie płynie,
Myśl w błękity gdzieś leci w nieziemskim za-
[chwycie...
Selim.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

ARCYDZIEŁO

dramat w pięciu aktach.

Bolesławowi Ładnowskiemu—
znakomitemu artyście, zacnemu
przyjacielowi

ofiaruję.

OSOBY:

Alfred Wiołicz—nauczyciel muzyki.
Aneta—żona Alfreda.
Zygmunt Grudzi—wychowaniec Alfa.
Baron—Roman Wirski.
Matylda—żona barona.
Aleksander Sokolicz—przyjaciel barona i Alfa.
Doktor.
Justysia—służąca Anety.
Tosia lat 12
Walek „ 11
Jaś „ 10
Tomek „ 9
Grześ „ 8
Maciuś „ 7
Staśka „ 4
Lokaj baronostwa.

Rzecz dzieje się w naszych czasach.

AKT I-szy.

Salonik w domu Alfa. Dwoje drzwi: na prawo od widzów i vis-à-vis widzów. Przy lewej ścianie stoi pianino. — Umeblowanie skromne, ale czyste — znać staranność i smak. Drzwiami środkowymi wbiega Justysia, zbliża się do drzwi na prawo, zająka i wraca, dając znak ręką. Wchodzi Alf z bukietem róż, stary, siwy, o wygolonej twarzy, wzrostu średniego; włosy bujne zgarnięte od czoła ku tyłowi głowy.

Justysia. Niema! musi pani w ogrodzie być.

Alf (przykładając palec do ust). Cicho! (podchodzi do stołu, stawia bukiet i kładzie przy nim malutkie pudełko od klejnotów). Dziś pani imieniny, Justys... (jakby d. s.). Pierwsze imieniny tu, pod tym dachem, starego Alfa (składa ręce modlitewnie). Czy ja się spodziewałem tego, czy ja się spodziewałem!

Justysia (przypatrując się bukietowi). A gdzie to jegomość takich słizności nabral?

Alf. Prawda, Justys, że pięknych dostałem kwiatów?... Trzy róże: biała, krwista i paljowa w otoczeniu fiołków, które tak Neta lubi. Teraz o róże takie trudno, Justys, ale ja od dawna z ogrodnikiem się umówiłem, by na ten dzień róże mi przygotował.

Justysia. Co to jegomość pieniędzy musiał wydać—ojej!

Alf. Ty tylko o pieniądzach myślisz, szara grudko ziemi.

Justysia. Bo też, jegomościu, człek bez nich strasznie czasem marnieje.

Alf (z westchnieniem). To prawda, prawda Justys!... (na wpół d. s.). Ja, na przykład, sto razy do ziemi po ten grosz się giałem, by żywot marny zachować. A młodość miałem, a w tej młodości tak piękne sny miałem! I co?... Lata przeszły, rozwiały się dźwięki arfiane... Rozbiło się wszystko o ten grosz lichy. Ty rozum masz, Justys—masz, masz!

Justysia. Przecie choć raz jeden jegomość powiedział, co ja nie głupia.

Alf. Ja tylko przez pieszczoty tak mówię czasami do ciebie, Justys—przez pieszczoty... Czy ty mnie nie znasz?

Justysia. Wiem, wiem, że jegomość taki dobrutki, taki słodziutki, nie przymawiając, jak lukrecya. To też ja się nie gniewam na jegomościa, nie! ja nawet lubię, gdy jegomość mówi: jaka ty głupia jesteś, Justysiu!

Alf. To też często sprawiam tę przyjemność tobie.

Justysia. Czy tych kwiatów z menażeryi jegomość dostał?

Alf. Jaka ona głupia!...

Justysia. Nie, nie—z horanżeryi!

Alf. A—to co innego.

Justysia. A w tym pudełku to pewnikiem pierścionelek ze słybra?

Alf (śmiejąc się). Pierścionelek ze srebra! Dla mojej Nety jabym taki pierścionelek kupił! (bierze pudełko i wyjmując złoty łańcuszek z medaljonem). Widzisz, Justys, jaki to pierścionelek!

Justysia. Ojej!... toć to jegomość ze trzy ruble zapłacić musiał?

Alf (śmiejąc się). Trzy ruble! Jaka ona głupia! (poważnie). Ha! cóż... Miesięczne zasługi u mnie Justysi trzy ruble wynoszą—wedle tej miary wydaje sąd. Nie śmiechu to, lecz zastanowienia wart! (chowa łańcuszek, wyjmując pugilares, z którego dostaje trzy ruble). Weź to odemnie, Justys, na pamiątkę dnia dzisiejszego.

Justysia (radośnie). Trzy.. trzy... (przypada do rąk Alfa). Dziękuję, jegomościu—dziękuję!

Alf. Nie mnie, Justys, tylko pani podziękuj, że zechciała być żoną Alfa.

Justysia (biorąc się za boki). Kupię se gorset bramowany i perkalową spódnice.

Alf. Pani ci drugie tyle doda.

Justysia. Ojoj! (całuje go w rękę) to i nowiuśkie trzewiki będą.

Alf. Pewnikiem żałujesz, że dwa razy do roku święta takiego nie ma?

Justysia. A jegomość zawszeby mnie po trzy ruble na imieniny pani dawał?

Alf. Myślisz, że nie?

Justysia. To może i szkoda!

Alf (szybko). Pst!... ktoś drzwi otworzył.

Justysia (podbiega do drzwi). Pani!

Alf. Idź, Justys—idź!... Przyjdiesz, gdy będziesz pani potrzebna.

(Justyna wybiega).

Alf (sam). Ostatni blask słońca padł na moje włosy siwe, ostatni promień dogasającego życia tak wielkiem rozlał się kołem. (Zwraca się ku drzwiom, składając ręce). Neto, Neto, Neto—czy ty odczuwasz dreszcz mojej duszy? O, jak mi serce drży, jak mi się pierś wzdyma, jakby wzbierała potęga natchnień dawnych, gdy duch o wielkim poemacie snił z dźwięków i akordów złożonym (rusza boleśnie głową). Sen—sen—sen!

(Chwilę zostaje w spokoju, nagle, jakby zbudzony podchodzi powolnym krokiem do drzwi na lewo i usuwa się na stronę. Wchodzi Aneta młoda—piękna).

Aneta (spokojnie poważnie). Prześliczny ranelek!... Bzy rozkwitają, perła się rosy na trawach, słowiki pierś stroją do koncertów nocy majowych, (po chwili). Mój Boże! jaka ja samotna jestem na świecie! Ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata, przyjaciółki ni przyjaciela!... Pozostał jeden tylko Alf—dobry, o kryształowym sercu Alf!... Czy on pamięta, że dziś są imieniny moje? (spozstrzega kwiaty). Al!... (podchodzi szybko do stołu). Fiołki, róże!... to jego dary, jego! I jeszcze (bierze pudełko) i to jeszcze! On jeden tylko pamięta, on jeden!... (otwiera medalion). Ach! i on sam na mnie patrzy z owalu tego medaljonu (wpatruje się). Włosy białe jak mleko, wieczna pogoda na czole, niezmienna dobroć w twarzy, na ustach uśmiech nie zwiany... Szczęśliwy Alf!

Alf (podchodząc). O, tak—szczęśliwy! (Aneta podbiega, Alf bierze ją za rękę), bardzo szczęśliwy—a szczęśliwy od kiedy ty weszłaś pod dach jego domu i sercem uderzyłaś w serce i ramieniem czoło jego opłotłaś jak bluszcz koronę dębu chylącego się pod lat ciężarem. Dawniej nie było tak, Neta! nie—nie... Pustka ogromna, cisza ogromna i smutek ogromny wiały z tych ścian. Teraz tak pełno tutaj, tak jasno, tak ciepło! Ale—ale... ja drzę o każdy krok twój, podpatruję każde drgnięcie twoich powiek z trwogą, by tam czasami lży jakiej nie dostrzedz, lży... może żalu do mnie...

Aneta (odrywa szybko twarz od jego piersi i w oczy mu patrzy). Alfie—co ty mówisz?

Alf (drżąc). Nie? nie?...

Aneta. Czy tobie nie zawdzięczam wszystkiego? czy ty nie jesteś wszystkim dla mnie?

Alf (patrząc w niebo). Boże! jest-żem słów takich godzien?

Aneta. Zapomniałeś o dniach niedoli, jakie przeżywałam, w których były chwile, że walczyć musiałam między życiem a śmiercią, między śmiercią a... (drgnąwszy)... Alfie! (tuli się mu w ramiona). Tyś innem okiem patrzył na mnie niż cały świat, niż ludzie wszyscy—tyś jeden mnie przygarnął, przytulił—ja nikogo nie mam, prócz ciebie, twoją jestem na zawsze, na życie całe!

(Obejmuje go za szyję, do piersi tuląc się).

Alf. Sen-że to, czy rzeczywistość? Taki ogrom szczęścia, taki ogrom nieobjęty ramionami stworzeń całego świata!... Neto! ja czuję powrót młodości, czuję w sobie drgające siły twórcze. Pieśń rozwiana, owo marzenie całego życia coraz uporczywiej brzmi w mej duszy, coraz wyraźniej w dźwięki się układa, które płyną, lękają, grzmiają... Al czy to być może, żeby na schyłku życia wcielił sen lat młodych? (Po chwili—ze smutkiem). Nie!

Aneta. Siadaj... twórz!...

Alf. Nie—nie... Zaprawdę dziś mi jest w piersi (siada i bierze żonę za rękę). Dziś, ten pierwszy dzień wiosny naszej, chcę spędzić tylko z tobą, koteczko. Jestże zresztą piękniejsza symfonia nad muzykę twych słów? soneta, nad bicie serca jakie czuję w tej chwili?

Aneta. Więc ten dzień mnie poświęcasz? nie wyjdiesz nigdzie?

Alf. Nigdzie, Neto!

Aneta. A lekcje twoje?

Alf. Zawiadomiłem uczniów i uczennice, że u mnie dzisiaj święto uroczyste. Wyplacę się im w każde inne święto, ale nie teraz, Neto, nie teraz!.. To już byłoby nad siły mojej!

Aneta. I dla mnie to jest uroczystość prawdziwa—będę cały dzień z tobą, Alfie! }

Alf. I ty się bardzo cieszysz?

Aneta. Tak—tak... Byłoby mi smutno, bardzo smutno dzień dzisiejszy samotnie przepędzić. I ja mam trochę wspomnień różnych, które, nie chcę, by mnie nawiedzały w samotności, bo mogą z tych fal, z mgły tej takie szepty wypłynąć, że chciałabym je zgłuszyć gwarem rozmowy, pustotą śmiechu, a z kim bym rozmawiała, uśmiechnęła się do kogo, gdyby ciebie nie było?

Alf. Wypełniają się tony i dźwięki, biegną błyskawic passażę — brak tylko ostatniego akordu.

Aneta. Zagraj mi coś, Janie!

Alf. Dobrze, Neto! (wstaje). Al! czuję, że fortepian śpiewać dziś będzie!

(Siada i uderza w klawisze — Aneta zrywa się i podbiega do niego).

Aneta. Nie to tylko, Alfie—nie to!

Alf (urywając w pół taktu). Nie... to?

Aneta. Nie lubię tej muzyki!

Alf (zdziwiony). Najpiękniejsza pieśń Schumana.... Grałaś ją zawsze z Munkiem.

Aneta. Teraz nie chcę...

Alf. Al! wiem co już zagrać... (Uderza w klawisze).

Aneta (odrywa jego palce od klawiszów przyklekając). O, nie—nie!

Alf. Co tobie się stało? „Kropla Nektaru“ jest perłą w twórczości mojego Muntka.

Aneta. Coś mi swojego dzisiaj zagraj, Alfie!

Alf. Mojego!... to wszystko takie liche — nędzne...

Aneta (wstając z klęczek). To tylko, co jest twojem, mojem dziś być powinno—to tylko, co jest twojem... (Alf zaczyna grać, Aneta odchodzi do sof, mówiąc do siebie). Zagasły wszystkie promienie, zwiędły wszystkie róże... Ukończyć mi tylko dom ten i być cichem, sennem światłem ścian tych...

(Siada. Po chwili daje się słyszeć dzwonek—wbiega Justysia).

Justysia. Proszę państwa, przyszedł lokaj od pani baronowej z takim bukietem, że aż strach!

Alf (wstając). Od pani baronowej?

Aneta (drgnąwszy, wstaje także, d. s.) Czy ona nie wie, że dotąd zgoić nie mogę zadanej przez nią rany? Tak—ona nie wie!

Justysia (dając znaki do drzwi). Ta chodź—ta, chodź!

(Wchodzi lokaj z koszem kwiatów).

Lokaj. Bilet od jasnej pani i kwiaty.

Justysia (podbiega—bierze bilet i kwiaty). Jezu mój słodziutki, co to za śliczności!.. A pachnie—jakby całą haptkę tu przyniśli.

Alf (rozerwawszy kopertę). To bardzo ładnie, bardzo... Widzisz, Neto—pani baronowa przysłała tobie życzenia i ten kosz kwiatów.

Aneta (do lokaja). Podziękuj pani... (lokaj wychodzi, Aneta zwraca się do Justysii). Weź sobie ten kosz i kwiaty!

Justysia. Ojej! (całuje panią w rękę). Pewnikiem i moje są dziś imieniny, tylo w mętryce omyłkę ksiądz zrobił.

(Wybiega).

Alf. Koteczko—co to ma znaczyć?

Aneta (z uśmiechem). Ja nie chcę, Alfie, innych kwiatów prócz tych, od nikogo dziś innych kwiatów nie chcę!

Alf (chwytając ją za rękę). Neto! moja pieśń drga coraz wyraźniej życiem. Twój Alf—zobaczysz... twój Alf!...

(Dzwonek—wbiega Justysia).

Justysia. Pan baron.

Aneta. Co?

Alf (żywo). Proś—proś!..

Justysia. I znowu bukietem takie!

Alf. Proś, sroko—mówię!

Justysia (kiwając do drzwi). Ta chodź—ta... chodź!

Alf. Co ty się tak poufalisz z baronem?

Justysia. A to on nie taki ciek jak wszyscy?

Alf. Jaka ona głupia!

(Wchodzi baron, otyły, sapiący, z bukietem, z jowialnym wyrazem twarzy).

Alf (kłaniając się). Aaa...

Baron (tak samo). Aaa. Ale nie do ciebie, kochany maestro, nie do ciebie, tylko do twojej pięknej żony, która z kielicha lilii wyjść musiała... (podaje bukiet Anecie). Racz pani przyjąć tę pracę palców moich.

Aneta. Dziękuję panu, panie baronie—dziękuję!

Baron (dając kwiaty). Złoto do złota, kwiaty do kwiatów niech idą... a co!

Aneta (biorąc dar). Przesłiczna wiązanka!

Baron. Sam układałem, w doborze barw pomagały mi motyle, nastęrcząc się wciąż skrzydłami swojemu.

Aneta. Rzeczywiście—widzę bogactwo motyli kolorów...

Baron. Ale niech pani uważniej się przyjrzy... (robi palcem krąg nad bukietem). A—ne—ta!...

Aneta. Prawda!

Alf. Co takiego?

Baron (zasłaniając kwiaty). Sekret, sekret mój kochany maestro... A nie daj się zbyt ciekawości powodować, bo żonka młoda a ja...

Alf. Spokojny jestem, panie baronie, spokojny!

Baron. Doprawdy? (bierze rękę Anety, całuje i patrzy na Alfa), a cóż—nic?

Alf (śmiejąc się). Nic.

Baron (całując drugą rękę). A teraz?

Alf. I teraz nic.

Baron (całując obie ręce). A tak na przykład?

Alf. I tak nie!

Baron. Ale mąż pani nie a nic zazdrosny nie jest—to dobrze! to zupełnie jak ja! Śpi się wtedy lepiej, trawi lepiej—a to grunt!

Aneta. Niechże pan baron usiąść raczy.

Baron. Przy pani... Maestro nie poirytuje się, gdy siadę przy pani (siada).

Alf (do gapiącej się wciąż na barona Justysii, uderzając ją po nosie). Czy i ty do towarzystwa należysz?

Justysia (półgłosem). Nie—ino ciekam na to bukietem!

Alf. A pójdziesz, sroko!

(Justysia wybiega).

Baron. Hm! ja doprawdy nie rozumiem, w jaki sposób maestro zdobył taką różę jak pani?

Aneta. Czy pan, panie baronie, nie masz innego przedmiotu do rozmowy?

Baron. Nie mam, jak Boga kocham—nie mam!

Aneta. Niegrzecznie to jest nie wierzyć, ale—nie wierzę!

Baron. No o czym, na przykład—o czym?

Aneta. Może jakaś nowość książkowa zajęła pana...

Baron. Kiedy ja nie nie czytam, ale to nie a nie...

Aneta. Jaki to nie?

Baron. Nic. Jest że coś większego nad nie? Do każdego coś możemy jeszcze coś dodać lub odjąć coś; nie nie lęka się ani odejmować ani dodawać, jest zawsze niezmiennie, wielkie, nieogarnione!.. a co się tyczy nowości książkowych to co mnie mogą obchodzić romansy, powieści, poezja, dramat czy filozofia? Romansów za dużo mamy w życiu, powieści sam sobie wykonceptuję, poezja jest bajką, dramat operacją nerwów a filozofia—szukaniem pereł... w morzu pozabawionem pereł.

Alf. Zawsze pana barona musi zajmować coś, choćby polityka?

Baron. Polityka? to usankcjonowane gałęziństwo? Czy ja Kretę Grecji oddam, czy okupację w niej przeprowadzę? Sultaniem zgodziłbym się być może i to pod warunkiem, jeżelibym miał tak piękną odaliskę... (zwraca się do Alfa), nie słuchaj Asiu, bo na tureckie noże gotowyś mnie wyzwać. Tak piękną odaliskę, jak... (podczas tego zwrócenia się do Alfa, Aneta odbiegła do fortepianu, baron zwraca się do miejsca, na którym siedziała Aneta—szybko), pani!... (patrzy zdziwiony—Alf śmieje się).

Alf. Pusto w haremie?...

Baron (spozstrzega Anetę). A—jest... (biegnie, Aneta umyka—gonią się) jest! (Aneta znów pierzcha) jest!

(Wbiega Justysia).

Justysia. Ojej!...

Baron (chwytając Justysię zamiast Anetę). Jest!... (Alf i Aneta parszają śmiechem. Aneta chowa się za Alfa).

Baron. Co za metamorfoza? (rozgląda się) jak Boga kocham metamorfoza (patrzy na Justysię). Ładna nawet metamorfoza... (śmieje się). Atom się ubawił! (siada), Niema to, jak być dzieckiem!...

Justysia (do Alfa). Czy to jegomościu...? (robi kółko sobie na czole—Alf potakuje). Aha!...

Aneta (podbiega do barona). Dzień dobry panu, panie baronie!

Baron (sapiąc od zmęczenia). Nie mogę.

Alf. Przypomniały się dawne latka?

Baron (j. w.). Kiedy już nie mogę...

Alf. A nie chcesz, panie baronie do Krety jechać...

Baron (wstając). O, figlarz! jaki figlarz!... (patrzy na zegarek) kwadrans po dwunastej!! I sultaniem nie zostałem i śniadanie ucieknę... Do widzenia kochany maestro, do widzenia piękna Aneto!...

Alf. Ale ja barona nie puszcze, śniadanie i u nas zjesz można.

Baron. Jesiotrzyna i kuropatwa, koniak imperyal i kawa—zdobędziesz się na coś podobnego?... A u mnie jedzenie—to grunt! Wszystko dla jedzenia!

Aneta. I nie nad jedzenie?

Baron. Nic! bo to tylko co zjem jest już moją niezaprzeczoną własnością.

Alf. I pan baron nigdy wyższych aspiracji nie miał?

Baron. Nigdy.

Aneta. Pan żartujesz chyba?

Baron. Jak Boga kocham—nie!

Alf. Może to i wygodniej!

Baron. To, to właśnie! Nic nie brać do serca, na wszystko patrzeć przez palce... Słowem, kochany maestro, zidyocić—to szczyt szczęścia!

Alf i Aneta. Panie baronie!

Baron. Zdziwiliście się błyskiem mego rozu?

Aneta i Alf. Co pan mówisz?

Baron (do Alfa). Napisałeś symfonię, o której marzyłeś?

Alf. No—nie!

Baron (do Anety). Czy żaden kolec, ot, taki malutki, nie ukłócił panią nigdy?

Aneta. Życie musi mieć kolce...

Baron. Więc stępić je, stępić, stępić—jeść, jeść, jeść i zająć wszystko!

Aneta. To rozpacz!

Baron. To mądrość!

Aneta. Wybacz pan—ale...

Baron. I pies jeść potrafi?

Aneta. O nie—nie...

Baron. Ale to, to chciałaś pani powiedzieć—tylko, że jest różnica pomiędzy psem a człowiekiem: pies nic nie *zajada*... (śmieje się idyotycznie). Ot, konwersacja! ale prawda przy mnie, przy mnie! (do Anety). Adiu! (podając rękę Alfowi). Jedź! (do Justysii). Bywaj zdrowa, metamorfozo!

(Uklon ogólny i wychodzi. Chwila milczenia).

Justysia. Paniusiu! ten pan baron niby to wariaty?

Aneta. Czy ja wiem, Justysiu!

Alf. Znałem go...

Aneta (podechodząc). Dawniej?

Alf (siadając). Tak, Neto!

Aneta. I jakim-że był dawniej?

Alf. Pełen marzeń, pragnień i—złamał się....

Aneta (siadając przy mężu). Opowiedz mi, Alfie—opowiedz mi coś o nim!

Alf. Smutna to historia, Neto! Skrzywdzili go bracia przy podziale fortuny, matka przy podziale serca pomiędzy dziećmi, żona podziałem miłości... (Aneta wpatruje się przed siebie). Żelaznej woli nie miał i—złamał się!

Aneta (wpatrzona w dół). Jakże bywają na tej ziemi dramaty okropne!

Alf. I nikt czasem o nich nie wie.

Aneta (jak echo). Nikt nie wie.

(Dzwonek).

Aneta i Jan powstają.

Alf. Justysiu!

Justysia. Może już nikogo nie wpuszczać jego—mościu?

Alf. Nie mędrkuj-no, tylko otwieraj!

Justysia. I wpuścić?

Alf (składając ręce). Jaka ona głupia!

(Justyna wybiega).

Aneta. Doprawdy nie wiem, ktoby pamiętał jeszcze o dniu moim—ale prawda, że tobie zawdzięczam pamięć obojętnych mi dawniej ludzi. (Justysia wraca, omuršana trochę koło ust na białło).

Justysia. Jakież panienki i panice pytały czy można wejść?

Alf. Uczniowie i uczennice, dzieci biedaków albo sieroty. Ależ prosz Justysiu—proś!...

Justysia (dając znaki do drzwi). Ta chodźcie—ta, chodźcie!...

(Wchodzi gromadka podlotków, wśród nich z bukiem: Tosia, Jaś, Grześ, Maciuś, Staszko).

Alf (do Anety). Nie przypominał im nikt, przywiodła ich tylko wdzięczność... Witajcie moi panowie i panie!

Tosia (podechodząc do Anety, dyga i daje kwiaty). My wiedzieliśmy, pani, że pamiętając o dniu

twoich imienin, pani, największą tem panu profesorowi przyjemność zrobimy. My biedne dzieci, nie stać nas na inne dary, jak na te kwiatki polne. Weź je pani od nas z życzeniem szczęścia, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

Aneta (rozrzewniona, całuje dziewczynkę). Dziękuję ci serdecznie, dziękuję panią!...

Tosia. Proszę mnie Tosią nazywać.

Aneta. Dziękuję więc ci Tosiu i twoim towarzyskom i towarzyszkom za pamięć i te kwiaty. (Całuje działy ręki).

Alf (gładząc ich główki). Poczciwe, poczciwe. Trzeba nam przyjąć tych gości jak się należy. Justysiu! przynieś tacę z ciastkami.

Justysia (szeptem). Nie trzeba, jegomościu, nie trzeba!

Alf. Dla czego nie trzeba?

Justysia. Syćko zjedzą.

Alf. A sama to już próbowałaś czekoladowej bomby—he?

Justysia. Ja?

Alf (uderzając ją palcem po buzi). A śmiesz się!

Justysia. Ojej! bez lustra, to ciek se zawsze źle ubieli.

Alf. Ruszaj, żarłoku i rób com ci kazał

(Justysia wybiega).

Aneta. Siadajcie moi goście kochani!

Tosia. Kiedy nam, pani, do roboty śpieszno.

Aneta. A cóż wy robicie?

Tosia. Ja i Jóźka w magazynie szyjemy.

Aneta. Zarabiacie dużo?

Tosia. Daję nam bułkę z masłem a czasami i serdelka na wieczerek.

Aneta. Nie zatrzymuję was, choć serdecznie chciałabym ugościć.

Jaś (ciągnąc za sukienkę Tosię). Ostań, Tośka—bandzie bomba czekoladowa. (Wchodzi Justysia z tacą napełnioną ciastkami, na której stoją kieliszki i butelka wina). O—wieszysz? (oblizuje się).

Tomek. I wino je.

Jaś. Wino je—słyszysz Tośka!

Tosia. Cicho, ostanę już—ino jeść i iść zara.

Aneta. Proszę was—siadajcie! Po parę kropel wina wypijcie za zdrowie moje i Alfa (do Grzesia). Ty jak się nazywasz, chłopczyku?

Grześ. Grześ Kopytko.

Aneta. Masz rodziców?

Grześ. Matus je ale bardzo chora i biedna.

Aneta. Kto was żywi?

Grześ. Pan profesor.

Alf. Nie pleć, pleciugol! Pan Bóg żywi i czuwa nad wami.

Grześ. I matus tak mówią, ino dodają, że to robi przez ręce pana profesora.

Aneta (do Macia). A na ciebie jak wołają?

Maciuś. Maciuś Rak.

Aneta. Masz rodziców?

Maciuś. Miesiąc temu jak pomarli.

Aneta. Któż ciebie karmi i odziewa?

Maciuś. Pan Bóg przez ręce pana profesora.

Alf. Neto! nie pozwalaj im tak języki rozpuszczać.

Aneta. Alfie! ja nie wiedziałam nie o tem.

Alf. Masz niespodziewane wiązanie. Czy to ci przykrość sprawia?

Aneta. O nie, nie—tylko ty coraz piękniejszy się stajesz!

Alf. Piękniejszy!... Z takim śniegiem na włosach, z cieniem mroków na czole, z blaskiem zachodzącego słońca w oczach... Neto moja!

Aneta (do działy). Jak widzę, to goście moich posadzić trzeba i każdemu dać po ciastku, bo sami nie wezmą... Proszę, śmiało, wiele się tylko podoba.

Alf (siadając na kanapie). Staśka!...

(Staśka biegnie do Alfa, który ją sadza na kolanach).

Jaś (do Tosi). Wiele się ino podoba... Słyszysz Tośka.

(Aneta częstuje dzieci).

Alf (do Staśki). A nauczyłaś się już na pamięć oberka?

Staśka (zerkając na ciastka). Nauczyła się, panie psoze...

Alf. A nie zapomniałaś śpiewać o Jasiu?

Staśka (j. w.). Nie zapomniała, panie psoze...

Alf. Zaśpiewaj, Staśka.

Staśka (śpiewa).

Posed Janek na wojenkę,

Posed z hułanami...

(Zrywa się nagle z kolan, biegnie do stołu i chwytając naraz dwie bomby).

Alf (śmiejąc się). Pokuso, pokuso! ty jesteś największą potęgą świata!

Aneta. Staśka—nadstaw fartuszek.

(W nadstawiony sypie garść cukierków).

Staśka. Jesce!

Aneta (śmiejąc się). Dobrze, dobrze koteczko moja—ale nie jedz wszystkiego od razu.

Staśka. To dla mojej siostrzyczki.

Aneta. Masz więc jeszcze!

Jaś (cicho). Nadstaw-no, Tośka i ty fartuch.

Tosia. Ty Jasiek tacę zjadłbyś całą.

Alf. Justysiu—a ty bombę?

Justysia. Jeżeli jegomość pozwoli.

Aneta. Chodź Justysiu!

(Justysia bierze całą garścią).

Justysia (zajadając). Taka se słodka śmietana!

Aneta (do Walka). Masz słizne i rozumne oczy dzieciaku—uczysz się chętnie?

Alf. Kto wie, czy z niego drugi Muntek nie będzie.

Aneta (drgnawszy lekko). Nie życz mu tego—powodzenie psuje.

Alf. To—moja Neto—od głowy i serca zależy. Mojego Muntka, ani świat ani powodzenie nie zepsuło.

Aneta (do Walka). Na czym się uczysz grać?

Walek. Na skrzypkach.

Aneta. Kto ciebie do tego namówił?

Walek. Nikt nie namówił—samo przyszło.

Aneta. Jakim sposobem?

Walek. Abo ja wiem! Jeszcze ja pana profesora nie znał, skrzypki nie widział, a coś mnie grało i grało we środku, ot—tu!... A jak skrzypkę zobaczył u Kaźka, co u nas mieszkał, to przybiegł do niej i na strunach się położył, aż zadzwoniły—a jak zadzwoniły to ja struny zaczął całować, aż usta sobie pokrąwił. Później sam grać zaczął, później pan profesor mnie zobaczył i powiedział: „Chcesz Walek uczyć się?” A ja się ino zatrząsł, tak mi się strasznie jakoś i słodko jakoś zrobiło.

Alf. Słyszysz, Neto?

Aneta. Z niego być może artysta ale niech się nigdy i w nikim nie kocha.

Alf. I kto powie, z kąd się bierze ta iskra talentu, w jaki sposób w duszy ludzkiej się budzi? Ja wiem, Neto, wiele się tych iskier zapala i spala; ja znam ból spowodowany niemocą dania marzeń tym życia.

Aneta. Ból minie, Alfie!

Alf. Ależ ja nie do siebie mówię, koteczku—ja taki szczęśliwy dzisiaj, taki szczęśliwy!

Aneta. Justysiu—podaj kieliszki!

Jaś. Tośka! jaka mnie oskoma za zęby bierze.

Aneta (napełniwszy kieliszki). No, moi goście, wypijcie za zdrowie pana profesora.

Działy (podnosząc kielichy). Vi-vat!

Justysia. Pani—mnie kapkę... (piję). Ojej, jakie to smakowite!

Dzieci i Justysia. Vi-vat!

Tosia. Daj Boże państwu zdrowia, szczęścia i wszelkiej pomyślności.

(Dzieci żegnają się).

Alf. Idźcie dziatki, idźcie gołąbki moje... jutro dowiem się do was. Pozdrówcie ode mnie kogo do pozdrowienia macie, a nie zapominajcie o nas.

Staśka (podbiega do Alfa). Buzi!

Alf (biorąc ją na rękę). Ty jagódka leśnej maliny, dzieciaczku mój serdeczny!

(Całuje—działka wychodzi).

Justysia (ciągle zajęta jedzeniem). A tom se najadła się, co az gorsecisko skrzypil

Aneta. Pozbieraj ze stołu Justysiu!
(Justysia sprząta, Aneta zbliża się do stołu. Słychać dzwonek. Justyna wybiega).

Alf. A, to już nie wiem ktoby jeszcze o twoich imieninach pamiętał. Już słońce zachodzi, żadnego gościa spodziewać się nie można, chyba telegram (z radością). A może, może... (dzwonek—Aneta podbiega strwożona i chwytając Alfa za ramię). Czego ty się przestraszyłaś, Neto?
(Justysia wraca).

Justysia. Gadzety!

Aneta (oddychając). Aa!...

Alf. Dawaj tutaj, dawaj!

Aneta. Zabierasz się do czytania?

Alf. (gorączkowo). Nie, duszeczko—tylko przejrę (przerzuca dzienniki). Paryż... (czyta). Żadnej wiadomości o Munku! Tylu nowych muzyków się pojawiło, dają koncerty, zyskują oklaski, zdobywają znaczenie, pracują, tworzą a on milczy, milczy, milczy, żadnym nowym dziełem nie przypominając się światu. Od dwóch lat nie odezwał się nawet do mnie, niegodziwiec! Oleś także zginął, zapomnieli o starym Alfie zupełnie. Ale ty, ty Neto, nie zapomnisz o nim nigdy!

Aneta. Kocham ciebie!

Alf. (wstając). Co? co? ja tylko odrobinę przyjaźni chciałem, a ty mówisz...

Aneta (opierając czoło o jego piersi). Kocham ciebie, Alfie!

Alf. Kochasz, ty kochasz? (ściemnia się, słychać śpiew słowika, przez okno pada błądź księżycyca promień). Neto!

Aneta. Drżysz?

Alf. Niewypowiedziany czar zalewa serce moje...

Aneta. Wiosna—słowik śpiewa, ziemia się kąpie w srebrnych blaskach księżycyca.

Alf. Jaki róż zapach!

Aneta. Róż wychylają się przez okna i patrzą na ciebie...

Alf. Wiosna! różel!

Aneta. Tak, Alfie!

Alf. Słyszysz szmer liści, cichą rozmowę traw...

Aneta. To chwieją się skrzydła anioła snów, płynąc ku tobie.

(Słychać muzykę echową).

Alf. Arfy gdzieś płaczą!

Aneta. To pochyliły się drzewa wszystkie, drgnęły wszystkie kielichy kwiatów.

Alf. Tak — tak — tak... Śpiewają drzewa, śpiewają kwiaty... Co za bogactwo dźwięków!

Aneta. Zostawiam ciebie—pracuj, twórz!

Alf. Co za bogactwo dźwięków!

Aneta. Daj ust! (całuje i oddala się).

Alf. Zabrzmiał ostatni akord pieśni (z gorączką) mam ją, mam, mam... Rozumiem dźwięk każdy, czuję ją tu, tu—na końcach swych palców!... Do mnie, o pieśni moja!... (Siada przy fortepianie, uderza w klawisze akordem potężnym).

Koniec aktu pierwszego.

KOBIETA ANGIELSKA.

JEJ CELE I DĄŻENIA.

(Dokończenie).

IV.

Niezwykłym było życie Karoliny Brontë.

Od ostrej przyrody Yorkshire'u, aż do stosunków rodzinnych, od surowego purytanizmu religijnego, w którym ją wychowano, aż do nieugiętości zdziwaczałego w purytanizmie tym ojca, wszystkie warunki otoczenia, całe środowisko

społeczne, w jakim wzrosła i żyła, składały się na to, by z niej uczynić istną ofiarę losów. Moralne i duchowe męczeństwo kobiety tej, musiało na pracach jej niezatarte wyręć piętno.

Ponure losy Edgara Poë, doprowadzające go do obłędu, do śmierci w ryszotku, a przedtem do halucynacji, tak po mistrzowsku oddanych w jego arcydziełach, są nieczem prawie w porównaniu z tą cichą tragedią życia niewieściego. Córka fanatyka, który darł na strzepy lepsze suknie swej żony, a trzewiczki dzieci, kupione z krwawych jej oszczędności, rzucał w ogień, by podczas największych mrozów nawet nie zaznały zbytków podobnych, Karolina Brontë doświadcza z kolei wszelkich niedoli i wszystkich pocisków losu, umierając zaś w 39 roku życia, pozostawia światu trzy arcydzieła, z których każde rzuca wawrzyn nieśmiertelności na samotną jej mogiłę.

Teoria Hipolita Taine'a, dowodząca o wpływie rasy, pochodzenia i środowiska społecznego, w jakim wzrasta twórca artystyczny, na późniejsze jego dzieła, nigdzie może nie znajduje silniejszego zastosowania, niż w życiu Karoliny Brontë. Cały teroryzm, rozciągany nad jej dzieciństwo, cały korowód trumien, piętrzących się pod dachem rodzinnym. w rozkwicie jej młodości, znajduje oddźwięk bezwiedny w trzech arcydziełach: „Jane Eyre,” „Vilette” i „Shirley.”

Pastor Brontë trzy miał córki: Annę, Emilię i Karolinę. Chowane w surowym zaścianku, pozbawione wszelkiej pomocy naukowej, wyrastały wszystkie trzy na wielkie talenty literackie. Opatrzność rzuca im do kołyski technię artyzmu; podnosi je zaś przecieczki bezwiedny śmierci. Pierwsze prace Anny i Emilii drukowane są z uznaniem. Utwory Karoliny wzamian odrzucone bywają bezwzględnie przez redakcje i wydawców. Nie zraża jej to do pióra. Zamknięta w odosobnionej plebanii, na pustkowiu nieledwie, z dwoma suchotaicami, konającami na jej rękę, z ojcem maniakim i bratem obłąkanym, który umiera także, zmuszona żyć w tej atmosferze szpitalno - cmentarnej, zniewolona łamać się z własnym duchem i spełniać najniższe posługi, szuka ucieczki po nich w kojącej pracy ducha.

Dzieła powstałe pod takim wpływem, musiały wyrosnąć nad miarę zwykłą.

Samotność była im mistrzynią, a według stwierdzonego aksjomatu, pomaga ona lepiej do poznania serc ludzkich, nad czynny udział w odmetach i wirze życia.

Nie dotykając skończenie pięknej strony artystycznej prac tych, przejdźmy do ich celów i dążeń.

Do gruntu szlachetne, bezwzględna ta uczciwością właśnie, wywołały one całą burzę przeciw autorce. Faryzeuszowskie, przyuczone do obłudy społeczeństwo angielskie zakrzyknęło na alarm; przywiązani do formy purytanie wysłali cały pęk grotów zatrutych w stronę Karoliny Brontë.

Nikt jeszcze bowiem nie malował mu z taką siłą ludzkich uczuć i namiętności, nikt nie odślaniał tak jasno otchłani występku, do jakich dusza człowiecza spaść może. Poezya najczystsze natchnienia, sceny miłości, równe w potęgę swej improwizacyom Romea i Julii, szły tu naprzemian z opisami pełnymi zgrozy, która krew ścinała w żyłach. Po nad wszystkim zaś górowała zasada absolutnej szczerości uczuć. Czcze szanowanie pozorów i ślepa cześć dla nich była według Karoliny Brontë przesadą, obłudą, a często bezbożnością po prostu. Pokłony oddawane złotemu cielcowi i tytułom, świadczyły jedynie o zdziwieniu uczuć ludzkich, człowieka bowiem należy oceniać nie według stanowiska, lecz stosownie do jego wartości moralnej. Do ocenienia jej wszakże nie wystarczają ani słowa, ani czyny, bo jedno, jak drugie, mogą być podyktowane przez zbieg okoliczności. Aby więc osądzić czyjąś duszę, trzeba w głąb jej zajrzeć.

Kierowana podobnymi zasadami, nie cofała się przed rzuceniem rękawicy wszystkiemu co złe, nędzne i niskie, bez względu na to, w jakiej kryłoby się sferze. Idea absolutnej sprawiedliwości, marzenie o wzajemnej miłości między ludźmi,

o panowaniu Królestwa Bożego na ziemi, stanowiły cel i sztandar tej duszy czystej, która wśród krótkiej wędrówki po ziemi umiała jasnymi tylko krocząc szlakami.

Mistrzynie formy i uczucia, Karolina Brontë mogła umocnić jedynie wpływ kobiety w literaturze angielskiej.

Od dwóch tych postaci niezwykle, a wyrażających po nad normalny poziom literacki, rozpoczyna się plejada autorek, bardzo nierzadko poczytnych, a jak Ouida i miss Braddon, rozsławionych nawet na obu półkulach świata, lecz niemniej dalekich od potężnego wpływu, wywieranego na umysły przez Jerzego Elliota i Karolinę Brontë.

Plejada ta, w miarę rozwijania się nowych prądów, walczy często o ich powodzenie, dopomina się wymownie i śmiało o prawa dla kobiety i dziecka. Nie biorąc w rachubę garści krańcowych krzykaczek, dzięki którym powstał satyryczny typ „nowej kobiety,” większość przemawia z wielkimi umiarkowaniem za uszlachetnieniem rodziny przez wiedzę głębszą żony i matki, która w takim dopiero razie równa duchem mężowi, pojmująca jego dążenia i ideały, stałaby się prawdziwą jego towarzyszką i rzeczywistą przewodniczką swych synów.

Drugim żądaniem jest tak gruntowne przygotowanie moralne i naukowe do życia, aby dziewczyna w razie niepójścia za mąż, wystarczała sama sobie, a równouprawniona społecznie z mężczyzną, nie stanowiła kuli u nogi ojca lub brata, nie była balastem bezużytecznym w rodzinie i ciężarem dla społeczeństwa.

Najsilniej wpajającą zasady powyższe w utwory swe, najskrajniejszą w żądaniach, wśród współczesnych powieściopisarek angielskich, jest bezsprzecznie Sara Grand, bożyszcze najmłodszej generacji Albionu. Powieść jej, zatytułowana „Niebiańskie bliźnięta” (*The heavenly Twins*) wywołała wprost sensację wszędzie tam, gdzie sięga mowa angielska.

Pierwszy ten utwór wykazywał już umysł wyższy, obejmujący szerokie horyzonty, pióro wykwiłtne, niezmiernie utalentowane, i obok błyskotliwości formy, tę potęgę i siłę, która paradoksovi nawet nadaje cechę prawdy niezbitą.

Powieść angielska, rozwlekła dotąd, pełna często hypokryzji i ekliwie moralizująca, stała się dzięki nowym prądom, widownią szermierki ideowej. Mrs. Humphry Ward przykuwa uwagę miliona czytelników swymi tendencyjnymi społecznymi powieściami. Mrs. Hungenford, Mrs. Forester, Florencia Marryat, miss Thackeray, Marya Corelli, zajmują tłumy mniej wybredne. W odpowiedzi wreszcie na „Bunt mężczyzn,” (*The revolt of man*) Waltera Besanta i na „Donna Quixote,” w której Mac Carthy odsyłał przed niewielu laty kobietę do ogniska domowego wyłącznie, powstaje Sara Grand, i rzucając światu manifest emancypacyjny, zwycięża u zachwyczonego tłumu tam nawet, gdzie walczy wyłącznie paradoksami. Sara Grand też więcej posuwa naprzód sprawę niewieście, niżby to uczynić mogło dziesięć billów parlamentarnych, przyjętych przez obie izby prawodawcze.

Że niełatwo się wybić, niełatwo zwyciężyć tam, gdzie berło po Jerzym Eliot'cie, po Dickens'ie, Bulwer'ze i innych mistrzach dziedziczą tacy: Thomas Hardy, Hall Cain, Rider Haggard, Robert-Louis Stevenson, Walter Besant, a przede wszystkim: Jerzy Meredith i Rudgard Kipling, — że niełatwo zwrócić na siebie uwagę w kraju, który wydaje rocznie 800—1000 powieści, to fakt oczywisty. A jednak dokazała tego najsłynniejsza ze współczesnych autorek europejskich Mrs. Humphry Ward.

Jeżeli miarą powodzenia są zdobyte przez nie pieniądze, to zaznaczyć tu wypada, że za pierwsze trzy powieści pani Humphry Ward zapłacił jej wydawcy dwa miliony franków. W obec zapalu przytem, wywołanego przez autorkę wśród publiczności, błędnie wszystko, co dotąd popularnością nazywano. Po książki jej, wypożyczane przez czytelnice, chodzą ludzie po kilka mil drogi; na spóźniających się z czytaniem naznaczano dobrowolnie przyjętą karę jednego szylinga na ubogich.

Pierwszy z trzech utworów „Robert Elsmere“ rozprzedany został w pierwotnym wydaniu w 130.000 egzemplarzy. Następne dwie powieści: „Dawid Grieve“ i „Marcella“ przewyższyły liczbę tę jeszcze.

Anonimowa sylwetka rozgłosnej autorki, pomieszczona w „Revue des revues“, objaśnia nas, iż w rozwoju talentu pani Humphry Ward, ważną grało rolę wychowanie, związane z tradycjami rodzinnymi. Pierwsza to ze sław niewieścich, która nie zdobywała wiedzy kosztem ludzkich wysiłków i krwi własnej. Za ułatwienia zaś, doznane w wykształceniu, dość hojnie chyba odplacił jej umysł.

Wnuczka Tomasza Arnold'a, którego prace historyczne, religijne i pedagogiczne wywarły wpływ nieobliczony na pokolenie, będące obecnie u steru rządów w Anglii, pani Ward jest synowicą Macieja Arnold'a, znanego poety i wpływowego krytyka, a córką profesora uniwersytetu w Dublinie. Gdy dodamy, że mąż jej zajmuje katedrę we wszechniej Oksfordzkiej, ona sama zaś żyje i obraca się od 1880 r. wyłącznie tylko w kołach arystokracji krwi i ducha, że ją otaczają najwyborowsze umysły w kraju, to łatwo będzie zrozumieć, że środowisko takie musiało wywrzeć wpływ olbrzymi a dodatni na niepospolity jej umysł.

W słonecznej, poważnej atmosferze wiedzy i nauki, jaka ją otaczała od dzieciństwa, talent pani Humphry Ward wzrastał, nabierając cech bardzo podniosłych. Idealem jej było wynaleść środek na moralną i materialną nędzę, trapiącą niższe warstwy społeczeństwa.

Kobieta przemawia zawsze w obronie słabszych. Mrs. Humphry Ward doszła w tym kierunku nietylko do mistrzostwa, lecz i do pewnego doktrynerstwa.

Każda jej książka, obok skończonego dzieła sztuki, przedstawia ukrytą na dnie jego tezę społeczną. „Robert Elsmere“ porusza odwieczny problemat, usiłując pogodzić wiedzę z religią. „Dawid Grieve“ maluje ze szlachetnym realizmem dzieje dwojga sierot, rzuconych na pastwę losu, na walki i pokuszenia życiowe. „Marcella“ wreszcie, to obraz proletariatu wiejskiego głównie, a zarazem manifest i program reformy socjalnej, różnej od zasad dotychczas głoszonych, opartej zaś na względach wyższej natury moralnej, na odwołaniu się do lepszych pierwiastków duchowych człowieka.

Sądzimy, że po krótkim tym zarysie nikt nie posądzi pani Humphry Ward o gonienie za tanią, zdawkową popularnością. Tym nie lubi ani doktryny, ani uczonych dysertacji. Nie lubi ich również sztuka, na artyzmie oparta. A jednak niepospolite to pióro niewieście potrafiło zjednoczyć głęboką ideę przewodnią z najwykwintniejszym artyzmem formy i miłością podbitego bezwiednie tłumy. Podbitego, bo powikłania intrygi, poezja stylu, wysokie napięcie dramatyczne i niepospolite a wstrząsające sytuacje przykuwają czytelników do powieści pani Humphry Ward, każąc im przyswajać sobie bezwiednie ową strawę poważnej myśli i podniosłych dążeń.

Dla smakoszów wreszcie, rozkoszujących się pięknem tylko, wydała ona niedawno krótką a tragiczną nowelę p. t. „Bessie Costrell.“ w której dowiodła, iż potrafi z wyrafinowaniem mistrzostwem uprawiać także sztukę dla sztuki jedynie.

Taką jest w zarysie najnowsza działalność kobiet w literaturze angielskiej, takimi cele ich i dążenia. Naprawdę szukałbyś tu satyry swawolnej a płytkiej Gyp'a, naprawdę rękawicy, rzucanej społeczeństwu przez Jerzego Peyrebrune'a *). Inny tu świat i inne obyczaje. Kobieta angielska nie szydzi, nie burzy, nie unicestwia, lecz stara się złe łagodzić, a ku dobremu nowe zakładać podwaliny. Konserwatywna z przekonań i tradycji, zachowuje wszystko, co dodatkiem jej się wydaje, a restaurując stopniowo i ogólnie gmach społeczny, wtedy tylko czyni w nim wyłomy i bije w murach otwory, gdy

pragnie wpuścić przez nie więcej powietrza i słońca.

Światła!—woła. Światła dla wszystkich, czystszej atmosfery dla maluczkich, bo oni potrzebują oddychać, bo i oni mają prawo do życia. Maluczkim zaś jest zarówno biedak, dotknięty ubóstwem i szarą dolą, jak żona milionera, upośledzona ciasnym horyzontem pojęć, lub małostkowością uczuć, widząca bóstwo w złotym cielu, a cel życia w brylantach, zabawach i „karyerze“ dzieci. Światła dla kobiety tej!... Niech zrozumie, że jest tylko kółkiem w maszynie społecznej, że otarcie jednej lzy niedoli więcej warto nad jej brylanty, że współczucie jedynie i współdziałanie ze wszystkim, co ma dobro ogółu na celu, może wyjednać szacunek dla jej milionów. Światła dla pani dumnej z rodu, a nie popierającej zasług jego własnymi czynami. Słońca siły i woli dla matki, wychowującej liczną gromadkę; światła dla dziewczyny, rwącej się do wiedzy, a przykutej ubóstwem do czterech ścian domowych.

Wszystkie te jasne promienie może zlać na pograżonych w odmęcie trudów życia, zbiorowa siła ogółu jedynie. Ztąd więc, kobieta angielska, nie poprzestając na stowarzyszeniach i wpływie wychowawczym, zużywa do współdziałania z niemi dwie największe potęgi wieku: prasę i literaturę. Otoczona zaś w obu aureolą zasługi, uważa słowo drukowane za kazalnicę narodową, z której wolno jej głosić wyłącznie ewangelie czystych uczuć i szlachetnych myśli.

Anatol Krzyżanowski.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

III.

S w a t y.

Zaledwo druga z południa godzina wybiła na miejskim zegarze. Okryta półsalopką, wchodzi pani Rogozińska do stancyi p. ni Dziewosłębskiej. Na kominku stała już kawa, przygotowana w kamiennych imbryczkach, a placki ze śmietanką, okrytą grubym kożuszkiem, zachęcały do miłego zasiłku. Placuszki z migdałami i babka z cynamonem leżały na farfururowych talerzach, poustawianych na stole, okrytym czystą, jasno-żółtego koloru serwetą; aromat napoju smacznego wonił po całym pokoju. Wszedł pokojowiec w jasno-szarą grubej liberyi, z czerwonym kołnierzem i świecącymi guzikami; napukawszy nowym obuwiem po podłodze, podał kawę i wyszedł; panie same pozostały.

Kapitanowa, przyzwyczajona czynić honory w cudzych domach, mówi:

— Wyrećcie pania.

Poczem zabiera się do nalewania kawy, ale kiedy ujawni pleckę ze śmietanką, obmuśnie palcem kożuszek, aby wygodniej spłynął w filiżankę gospodyni domu, ta, lubo mocnych nerwów, czerwieni się i błednie, narzeka na ból zębów, dając swej gości znak zaproszenia, aby sobie była rada; wymówiwszy się od użycia ciepłego napoju, drażniącego dziąsła, odwraca oczy od niemiłego widoku.

Pijąc za siebie i za gospodynię, podaje wdowa recepty na cierpienie zębów, a że one były zabytkiem wiadomości lekarskich nieboszczyka męża, rozrzewniona wspomnieniem jego, przy czwartej filiżance sięga do kieszeni, wydobywa z niej stare zużyte sakiewki, z których jednego końca przegniłym owinięte papierkiem, rozwija i pokazuje jakieś przedmioty czei i żalu: był to ogromny paznokcie i świtek wąsów kapitana, odcięte i zachowane przy wyciągnięciu z rzeki Warty zwłok utopionego. Nie zdołały wzbudzić

współczucia u pani Dziewosłębskiej tkliwie te pamiątki, — ckliwo jej się zrobiło. Jakże się było dziwić tkliwej wdowie: sentymentalizm w niej tylko niemile przybierał formy, ale był rozpoznany w całej swej sile, objawiał się we wszelkich odcieniach. Noszone obrączki i lancuszki z włosów w medalionach na piersi wiszących, miniatury, zasuszone rośliny, strzępy wstążek; a pewien Anglik, utraciwszy kochankę, kazał spalić ciało, popioły w potaż, a ten w kryształ zamienić; kryształ brylantowany osadzony w pierścieniu nosił na pamiątkę. Przecież pani Dziewosłębska nieczuła, zgañiła towarzysze swojej, że obudza pamięć niewrotnych rzeczy, radziła, aby złożywszy w najskrytszym miejscu smutne te zabytki, pocieszała raczej przyjaciółkę dobrą radą, do której w porannym spotkaniu okazała gotowość.

— Słusznie, że mi przypominasz cel moich odwiedzin. Dzierżawa więc się kończy, a dzieć twój wdowiec. Jest bardzo znany, wiem jego stosunki, ale nie znam osoby. Nic to nie szkodzi, poradzimy w tem. Bywa tu często wdowa pani sędzina Wysocińska, piękna i bogata. Przepych ją otacza; do najznakomitszych poznańskich należy familij; ale z niemi zerwała, rozwiódłszy się z pierwszym mężem, któremu (tu wskazała na czoło) brakowało... Poszła za sędziego, godnego ze wszech miar człowieka. Dom prowadzili wspaniale, a przecież majątek wzrastał. Owdowiała z czworgiem dzieci, a jeszcze przysporzyła kapitałów i szuka znowu dóbr. Chociaż są dzieci — to będzie i na dzieci. A jaka to miła, grzeczna pani! O wiek nie pyta, niech się młode przed nią schowają. Cud piękności była; a i teraz jest niczego. Slicznie się konserwuje.

— Byłaćby to właśnie partya dla mego dziecka, — odrzekła Dziewosłębska — on wprawdzie jeszcze nie myśli o żonie, ma dwoje małych dzieci, przy nich siostrę, pannę, poważną osobę, — o majątek też nie dba; ma miliony, a słyszałam, że pani Gr. w licznej kompanii dała się słyszeć, odpowiadając na projekta zameżcia potocznie jej przedstawiane, że w tym tylko przypadku zdecydowałaby się, gdyby szambelan zażądał jej ręki.

— A wie on o tem?

— Podobno że nie.

— To mu pani nie powiadaj; jakążby swatka zasługę miała, gdyby się sami porozumieli? A stworzenie dla siebie!... — i zamyśliła się kapitanowa.

— Mój dziedziec nie zna tej sędziny, gdzież ona mieszka?

— W Kaliskiem.

— Trochę daleko.

— Trzeba obmyśleć, jakby ich zapoznać. Otóż tak: mam córeczkę, urodzoną w kilka miesięcy po śmierci męża, dopiero z wody ochrzczoneą; gdy sędzina przybędzie do Poznania, zaproszę ją w kumy. Wasińdzka tymczasem uprzedź swego dziedzica, a zbudziwszy ciekawość poznania damy, oświadczy, że mu się zarekomenduję i będzie uproszonym kumem do mojej Helenki. Na dobrem przedstawieniu interesów wszystko zależy; zobowiążesz sobie dziedzica, dzierżawę przedłuży, a kto wie, czy jeszcze i nie opuści z sumy dzierżawnej? Wdowa jest osoba wspaniała i zgodna, nie zechce zapomnieć chrześnięcia i kumy; jeszcze może i chrzciny wyprawi, aby odpowiadała jej dostojności przy tak miłym zapoznaniu!

Zadzwoniono na nieszpory i rozeszły się kądza do innego kościoła.

IV.

Szambelan.

Wschodzące słońce jasnożłotym promieniem przebiwszy się przez zamarznęte różnowzore szyby, pada swym blaskiem na stół zielonym sukmem pokryty; na nim stosy i zwity papierów, materyał piśmienny i książki w części porozkładane, z których mężczyzna siedzący w głębokim fotelu, saflanem wybitym, zdaje się notować. Rysy jego, lubo nie mające doskonałości

* Oba pseudonimy kryją pióra niewieście.

wzorów malarskich, bardzo są zajmujące, fizyognomii wyraz dowcipny i łagodny, w całej osobie rozlana powaga i uprzejmość, a na czole osiadła myśl głęboka.

Zadzwoił. Wszedł kamerdyner i przyrządza ubiór myśliwski.

— Strzelcy, czy już zebrani? Psy posforowane? — zapytał pan.

— Wszystko w pogotowiu, — była odpowiedź.

W milczeniu dał się ubrać szambelan, a po kilkakroć przystąpiwszy do stolika, to przewracał karty grubych foliów, to przekreślał i poprawiał zapisane stronicę. Zatrąbiono; cała psiarnia głosem zagrała, konie rżą, a na dziedzińcu kilkunastu strzelców, borowych, myśliwców. Każdy ma torbę, to z nici pleciana, to borsukową, to inną skórzaną; flinty pojedyncze i dwururkowe, trąby ogromne bawole, trąbki rogowe dziwnie wzorowane, inne brzoźową wyklejane korą. Ogary rozmaitych kolorów, po 2 lub 3 posforowane, charty na długich smyczach i taksy z krzywymi nogami, poziome a zjadliwe. Masztalerz, siedząc na jednym, trzyma pańskiego wierzchowca.

Tej chwili kolaska w parę koni zaprzężona, na dziedziniec i przed dom zachodzi. W niej siedzi kobieta, dobrze znana pani Dziewosłębska.

— A czy ją źle niesie, — zawołali strzelcy jednogłośnie, — to już nie będzie szczęścia na polowaniu, kiedy baba myśliwym drogę zabiegła!

— Żeby jeno jakiego licha nie przyniosła ta kozia broda, podchlebnica, — odezwał się kamerdyner, — to wicherzycielka, a kiedy jeszcze tak rano przyjeżdża, to nie bez kozery. Niemal na wyłudzała od nieboszczki jejmości, a teraz się już wkłada, żeby jakiego licha nawarzyć. Nie dowierzam tej intrygantce, żeby się też państwo pozbyło takiego dzierżawcy! On to pocziwy człowiek, ale ta szatanka opanowała męża; dobrze, że im Pan Bóg dzieci nie dał, bo matka nie zostawiłaby im ani strzępa pocziwości ojcowskiej.

— Pan nasz grzeczny dla wszystkich, ale ma rozum na swoim miejscu, przemówił stary Józef, strzelec, — a właśnie miałby się dać odurzyć takiemu babsku.

— Gdzie szatan nie może, tam babę ześle, — odrzekł kamerdyner, odwrócił się i wszedł do dworu, czyli jak zwano wówczas, pałacu.

Tymczasem Dziewosłębska rozgościła się już. konie wyprężono; zasiadła na kanapie, obok niej w zupełnym myśliwskim przyborze gospodarz, oparłszy tylko fuzyę o poręcz kanapy. Miał minę zakłopotaną, bo grzeczność nakazywała bawić goszczącą, a pogoda sprzyjała myśliwym; spodziewał się, że widząc przysposobienie, raczy go zwolnić z obowiązku słuchania jej, że przyjmie propozycję udania się do pokoiów siostry. jeszcze nie czasowej do przyjęcia wizyty w bawialni; ale sąsiadka, pełna swojego zamierzonego dzieła, zagadnęła:

— Powracam z Poznania; tyle mam rzeczy ciekawych, że się nie mogłam oprzeć chęci widzenia z panem dobrodziejem; a że polowanie codzienną jest jego zabawą, wieczór znużony powraca się, więc uprzedziłam dzisiejszą wyprawę myśliwską, i cieszę się mocno, że pana szambelana zastałam. Spodziewam się, że mi wybaczysz tę natrętność przez wzgląd na dobre życzenia i chęć służenia ci.

Zadzwoił gospodarz i rozkazał, aby rozkulbaczono wierzchowca, a myślistwo bez pana udało się na polowanie.

— Dawno mi pani wróciłaś z Poznania?

— Byłam w sam Nowy Rok; świetnego spodziewają się karnawału; Bogusławski przybył z trupą aktorów i koncertuje. Niemiec Stummel czyli jak się tam zowie, bo nigdy tych Niemców

nazwać nie umiem; ale go chwała i na gwałt zjeżdżają się panowie z całemi familiami i taborami na czas zapust.

— A to się dobrze będą bawić, — odpowiedział szambelan obojętnie.

— A jakżeby to się obyło bez naszego pana szambelana. Młody, bogaty, wolny, kochany i szanowany, a takich ci tam potrzeba.

— Ja tak niedawno utraciłem żonę!

— A w świeżej też jest pamięci, jakim pan dobrodziej wzorowym byłeś mężem.

— Jestem ojcem drobnych dzieł.

— To im też potrzeba matki!

— Wielkiej powinienem użyć rozważki, dobierając takowej dla nich, a tego się nie doszukaś wśród blasku salonów.

— Alboż to tylko pomiędzy tańczącymi dziećmi wybierać? Byłeś bardzo młodym panie, a żeniłeś się z dojrzałą kobietą; przykładne pro wadziliście życie i nie żałujesz swego postępku, to i teraz przekonanie niechaj przewodniczy pańskiemu wyborowi; — ale! przychodzi mi właśnie na myśl!

— Czy nie gotowy już plan swatów?

— Al! jak mnie też pan dobrodziej źle ocenił; jabym zaś miała dla pana, mego dobrodzieja, czynić wybory! To nic, ale kiedy właśnie o tem mowa, wielkie wrażenie w Poznaniu zrobiła wdowa sędzina W.; ona jest z domu znakomitego! Za pierwszym była Szó...

— Co? i już dwóch mężów miała?

— Ale bo panu szambelanowi wiedzieć trzeba że ją wydano za męża w trzynastym roku za wielkiego pana, jedynaka; był na edukacji w Paryżu i nauczył się złota robić, ale pewnie zapomniał, jak tu przyjechał, bo póty preparował, aż mu się w głowie popsuło i zaczął trwonić nasze pocziwe kopalne złoto polskie; a toż więc czy familia, czy też sama żona zmęczyła się i poszła do rozwodu, jeszcze lat 20 nie miała. Sędzia W., kierując interesami rozwódki, dał się jej poznać jako mąż godny i pozyskał jej rękę. Byli bardzo szczęśliwi, ale jego pan Bóg zabrał do chwały swojej.

— I zostawił dzieci?

Zakaśnęła się pani Dziewosłębska:

— Tak jest panie, ale to właśnie dowód, że sędzina potrafiłaby kierować wychowaniem pańskich dzieł, bo jak zobaczysz, co to za edukacja tych *contessów*, to na podziw! Starsza miała lat 7, to już francuską gazetę gładko po polsku czytała; pisała expedite trzema językami, malując takie piękne bukiety i owoce, grają z karty na klawicymbale, a tańczą, coby im baletniczka pozazdrościła.

— A więc wieleż jest dzieci?

— Synek 12-letni...

— Dwie panny, — dodał szambelan.

— I jedna córka zamężna.

— Zamężna? czy to najstarsza?

Odechręknęła trochę sąsiadka:

— Najmłodsza podobno, ale też 12-letnią wydano za 19-letniego młodzieńca pana Uli... Starsza — dodała prędko — ma lat 15, młodsza rokiem mniej.

— A to się niedługo trzeba spodziewać konkurentów do córek i o posagach pomyśleć!

— Alboż to pan nie wydałeś już posagów pa-sierbicom, a przecież nie zubożałeś; i tam są do-bra, kupują się dobra, a dwie sukcesye, spadłe niedawno po ciotce i babce, ułatwiają wypłaty gotowe, gdyby się nastręczyły.

— Dziękuję uprzejmie, — rzekł — za dobre życzenie, ale tak się przyzwyczaiłem do odosobnienia w jakim żyję więcej od roku, że mnie świat i blask jego nie nęci. Siostra, miła towarzysza, zastępuje miejsce matki dzieciom moim; książki, prace piśmienne, zarząd dóbr i myślistwo zapełniają wszystkie chwile moje; lękam się prawie rozrywek.

— A cóż za posępne myśli tę piękną głowę opanowały! Szkoda pana dobrodzieja jeszcze na pustelnika; o losie siostry zapewne zechcesz pomysleć, a jak się tak oddasz zarządowi dóbr, to się pewnie niezadługo żaden dzierżawca w jego majątnościach nieostoi; a przecież się JW. szambelan (tu ścisnęła ręką jego kolano) przynajmniej na męża mego uskarżać nie zechcesz, bo i w wypłacie się nie zadłuży i gospodarstwo sumiennie utrzymuje, aleć jeszcze pół roku do św. Jana, to i i JW. pan inaczej się namyśli.

Nie czekając odpowiedzi gospodarza, ciągnie dalej:

— Otóż byłabym zapomniała polecenie tej biednej Rogozińskiej!

— A cóż jej za bieda dokucza? — rozśmiał się figlarnie szambelan.

— Wiadomo panu dobrodziejowi, trzy lata temu jak utraciła męża, nagle utonął.

— A wiem, — przerwał szambelan, — popili się i pobili nad rzeką, a to też był porządny zawadyka... ale ją dobrze zostawił co do majątku.

— Cóż, kiedy biedna kobieta, nie umiejąc dać obrotu, jeszcze przy niemieckich sądach, zapędziła się w kłopoty. Powypożyczali pieniądze, a teraz trudno odebrać. Wiedząc, jakie pan dobrodziej masz wpływy, prosiła mnie, żebym go uprzedziła, jako ona się pod jego chce udać protekcję. Ażeby sobie zaskarbić łaskę pana dobrodzieja, chce go uprosić w kumy do swej Helenki, co nieskończone ma 3 lata i dopiero z wody ochrzczona; chrzestną matką będzie właśnie sędzina W., o której tylko co mówiliśmy.

Drzwi się na roścień otworzyły i weszła pan-na B., siostra gospodarza, z nią dwoje małych dzieci, udających się zaraz do ucałowania rączek ojcowskich, tuląc się do czułych pieszczot rodzicielskich. Chłopca pogłaskał po głowie, dziewczynkę postawił na jednej nodze, a trzymając za rękę, pobujał w powietrzu, uściśkał oboje dzieci, poszedł do pisielni, nastrzygł z papieru figurek, ludzi, zwierząt i sprzętów rozmaitych, wytłómaczył dzieciom znaczenie, jeszcze raz ucałował i wyszedł, zostawiając dwie damy rozmawiające o rzeczach obojętnych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 17-ty powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami. Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Typy i sylwetki niewieście w poezjach Brodzińskiego. — Ranek. Wieczór, przez Selima. — Kazimierz Gliński. Arcydzieło, dramat w pięciu aktach. — Kobieta angielska. Jej cele i dążenia, przez Anatola Krzyżanowskiego (dokończenie). — Pamiętniki Adaminy z Białych Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkusz 17-ty. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. — Sekrety gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.